

przebiegu działań wojennych, a tym samym o stopniu poinformowania obłożonych o faktycznych operacjach rozgrywających się na frontach I wojny światowej.

Michał Baczkowski

Hiroaki Kuromiya, Andrzej Peplowski, Między Warszawą a Tokio. Polsko-japońska współpraca wywiadowcza 1904–1944. Toruń 2009: Wydawnictwo Adam Marszałek, ss. 529, ilustr.

Temat wywiadowczej współpracy między Japonią a Polską – jedynymi (pomijając Afganistan) krajami które w XX w. pokonały ogromne mocarstwo rządzone przez Rosjan – to problematyka już z samego założenia pasjonująca. Emocje, jakie zawsze budzą publikacje związane z dziejami wywiadu, zwiększone są tutaj przez specyficzną egzotykę odmienności kooperujących ze sobą stron, odległych kulturą i mentalnością, aż do XX w. właściwie niewiele – jeśli nie zgoła nic – o sobie nie wiedzących. W istocie – jak podkreślił Wacław Jędrzejewicz, zresztą jeden z ważniejszych uczestników rozgrywki – głównym czynnikiem łączącym Cesarstwo oraz Rzeczpospolitą było właśnie to, co je geograficznie dzieliło – Rosja, początkowo monarchiczna, potem sowiecka i przemianowana w 1922 r. na ZSRR, ale zawsze nieodłącznie imperialistyczna. Podczas współpracy, trwającej niemal lat czterdzieści, osiągnięte zostały rezultaty godne uwagi – rzecz tym bardziej znamienita, że pracowano na terytorium dla agenturalnej penetracji niezmiernie trudnym. Wzajemna lojalność obu, tak bardzo od siebie odmiennych stron pozostała podczas tego okresu niemal niezachwiana, choć w pewnym momencie obie znalazły się w przeciwstawnych obozach politycznych i sojuszach. Ba, ostatecznie znalazły się w – co prawda mocno teoretycznym – stanie wojny. Nawet jednak jego ogłoszenie współpracy tej nie przerwało. Jest to niewątpliwie fenomenem na skalę światową, tym bardziej że nie chodziło bynajmniej – a przynajmniej nie w klasycznym sensie – o akty nielojalności wobec innych sojuszników.

Wszystkie te czynniki sprawiają, że monografia *Między Warszawą a Tokio* była pracą wyczekiwaną i mogącą liczyć na zainteresowanie także poza gronem profesjonalnych historyków. Nie miała też poprzedniczek, nie licząc bardzo niewielu skądinąd cennych, lecz związanych artykułów. Dwie prace Ewy Pałasz-Rutkowskiej, *Historia stosunków polsko-japońskich, 1904–1945* (Warszawa 1996; we współautorstwie z Andrzejem T. Romerem) i *Polityka Japonii wobec Polski 1918–1941* (Warszawa 1998) poruszały tylko niektóre wątki tej problematyki. Kuszących się o próbę jej opracowania deprymować mógł co prawda nie tylko fakt wyzwania badawczego, jakim są dzieje wywiadu. Odstraszała także bariera językowa – należało spenetrować źródła nie tylko polskie, ale i japońskie.

W tej sytuacji japońsko-polski duet historyczny wydawać się mógł prostym rozwiązaniem problemu. Tym bardziej że profesorowie Hiroaki Kuromiya (personalia w zachodnim, a nie japońskim szyku, najpierw imię, potem nazwisko) i Andrzej Peplowski są badaczami wielce kompetentnymi. Drugi z nich specjalizuje się przede wszystkim w dziejach wywiadu II Rzeczypospolitej, pierwszy w problematyce stalinowskiego ZSRR (niektóre jego prace zostały wydane w Polsce). Czytelnik miałby więc mocne podstawy, by oczekiwać znaczącego i wartościowego dzieła. A jednak...

Zacząć wypada od archiwów. Autorzy sięgnęli do ważnych i budzących wrażenie zbiorów. Z polskich są to zbiory warszawskie (Archiwum Akt Nowych oraz Centralne Archiwum Wojskowe) oraz instytutów Gen. Sikorskiego (Londyn) i Piłsudskiego (Londyn i Nowy Jork). Z amerykańskich Instytut Hoovera oraz waszyngtońskie NARA (ważne papiery rozpracowujące wywiad japoński).

Londyńskie National Archives spenetrowano nader wyrywkowo, za to jest – co należy z uznaniem odnotować – moskiewski RGWA (pomieszczone tamże, zrabowane archiwalia polskie). Zastanowienie budzą natomiast kolekcje japońskie. Są to zbiory Sił Samoobrony, czyli w istocie armii (o czym zresztą czytelnik nie wie, bo w bibliografii figurują tylko nazwy japońskie) oraz materiały zdeponowane w sławnej świątyni poległych Yakusuni. Uderza brak akt Gaimusho, czyli ministerstwa spraw zagranicznych. Czyżby nie było tam nic ciekawego?

Konstrukcja pracy, zasadniczo chronologiczna, nie budzi większych zastrzeżeń. Z sześciu rozdziałów pierwszy, poświęcony swoistemu poznaniu się obu stron w czasie wojny 1904–1905 r., ma charakter wstępny, ostatni – traktujący o II wojnie światowej – mówi o dogasaniu kooperacji w bardzo specyficznych warunkach. Zasadniczy trzon monografii (prawie 400 stron na 488 stron narracji) dotyczy więc okresu międzywojennego, przy czym krótki (45 stron) rozdział III zapoznaje czytelnika z wywiadem sowieckim i ma charakter ekskursu. Dodać należy, że o polsko-japońskim wątku lat 1904–1905 pisali już autorzy emigracyjni oraz Ryszard Świętek (w kontrowersyjnej *Łodowej ścianie*), a o współpracy obu stron w dobie II wojny światowej Pałasz-Rutkowska i Romer. Dodatkowo uwidatnia to w monografii rolę europejskiego międzywojnia (w Azji walki zaczęły się wcześniej).

Wszelako aby poznać wyniki badań autorów czytelnik musi być w stanie śledzić tok ich wywodów – to zaś niemal uniemożliwia przyjęta w książce transkrypcja nazwisk i nazw geograficznych japońskich i chińskich (znaczna część wywodów dotyczy chińskiej Mandzurii). Transkrypcja – a właściwie jej brak. Dotykamy w tym miejscu fundamentalnej wady książki. Wobec jej specyficznej tematyki zamieszanie w dziedzinie, o której mowa, ogromnie utrudnia – jeśli wręcz nie uniemożliwia – zrozumienie tego, co autorzy mają do powiedzenia, marnując w ten sposób ich wysiłek badawczy.

W tym miejscu konieczne jest zastrzeżenie. Jak zawsze w wypadku, w którym wkład autorów w powstanie poszczególnych partii książki nie został przez nich osobno wyszczególniony, trudno jest orzec, do którego z nich w większym stopniu adresowane być mogą poniższe uwagi. Ponieważ jednak Hiroaki Kuromiya językiem polskim – o ile wiadomo – nie włada i w archiwach polskich nie pracował, domyślać się wolno, iż większa odpowiedzialność za językowy kształt wydanej po polsku monografii spoczywać może na jej polskim współautorze. Część odpowiedzialności obarczać powinna także wydawnictwo. Toruńska oficyna Adam Marszałek już w przeszłości dawała niestety powody do narzekań na formę wydawanych przez siebie prac. Nad publikacją *Między Warszawą a Tokio* czuwało wprawdzie aż trzech recenzentów, których kompetencje trudno podważać. Jeden z nich (Timothy Snyder) nie pisze wszelako – choć czyta – po polsku, a pozostali dwaj (Waldemar Dziak i Wiesław Wróblewski) byli najwidoczniej bezradni.

W wypadku nazw i nazwisk japońskich światowe standardy wymagają używania – gdy pisze się alfabetem łacińskim – transkrypcji Curtisa Hepburna. W wypadku chińskim – transkrypcji *pin-pyin*, do której używania Polska zobowiązała się specjalną konwencją. Autorzy starszego pokolenia – także Japończycy publikujący w alfabecie łacińskim – używają jeszcze czasem dawnej transkrypcji Gilesa i Wade’a. Tak zwanego polskiego zapisu fonetycznego – nigdy zresztą nie ujętego w żadne reguły – nie stosuje się już nigdzie. Nawet jednak złe rozwiązanie lepsze jest wszakże od braku rozwiązania. Tymczasem brakuje go właśnie w tomie *Między Warszawą a Tokio*.

Dowody na prawdziwość powyższego stwierdzenia czerpać można niemal z każdej strony pracy, przy czym odautorski chaos potęguje jeszcze wydawnictwo przez niewątpliwie (chyba) literówki. Oto mandzurskie miasto figurujące na współczesnych mapach jako Qiqihar zapisywane jest jako Tsitsihar (prawidłowy zapis w transkrypcji Gilesa i Wade’a, s. 377), Cicikar (s. 184 i wkładka po 438), Cycykar (s. 325) i dość frywolnie jako Cyckar (s. 307). Chińska prowincja znana dziś jako Rehe występuje jako „Jehol” (s. 294), „Reje w Mongolii Wewnętrznej” (s. 313; warto dodać, że naprawdę Mongolia Wewnętrzna to nie jest), i Zeche (s. 326, 327). Prowincja Xinjiang, czyli Chiń-

ski Turkiestan pojawia się jako Sin-Kiang (s. 262, 341; warto przypomnieć, że po dywizie „-„ nie używa się dużej litery), Sinkiang (s. 236), „Chiński Tadżykistan” (s. 326) i, już prawidłowo, jako Chiński Turkiestan (s. 342). Wielkie miasto Tianjin to Tientsin (s. 295; prawidłowy zapis w transkrypcji Gilesa i Wade’a), Teni-tsin (s. 400) i Tien-sin, „stolica nowego państwa Mandżukuo” (Tianjin nigdy nie znalazł się w granicach Mandżukuo). Prawdziwa stolica Mandżukuo, czyli Changchun, to Czang-chun (s. 246) i Czanczuń (s. 305, 326); miasto to zostało przemianowane w 1934 r. przez Japończyków na Hsinking i na pewno dlatego występuje potem w książce jako Tsin-ksing (s. 338), Hsinking (s. 270), Sinkin/Hsinking (s. 365) i Sinking (s. 442) – ale bez wyjaśnienia czytelnikowi, że to – wymieniany poprzednio – dawny Changchun. Samo Mandżukuo ma generalnie taką właśnie, spolszczoną (i dopuszczalną) formę, ale pojawia się też jako Manchou-kuo (s. 263), Mandżuku (s. 274), i Manshukoku (s. 312). Prawidłowej nazwy, Manzhouguo, nie znalazłem.

Taki sam bigos hultajski panuje odnośnie do imion i nazwisk. Japońskie mają generalnie szyk odwracany na modłę zachodnią, ale np. na fotografii po s. 128 pojawia się Sawada Shigeru, a na s. 466 (w przypisie) Onodera Makoto; otóż Shigeru i Makoto to imiona. (Jakby dla równowagi, na s. 376–377 szereg Rosjan przedstawianych jest, nie wiadomo dlaczego, w azjatyckim szyku: nazwisko i imię). Lecz jest to niczym w porównaniu z bajkową różnorodnością form personaliów. Zapewne rekordzistą jest mandżurski marszałek znany (w transkrypcji *pinyin*, nie w pracy *Między Warszawą a Tokio*) jako Zhang Xueliang. Spotykamy go jako Czang Sue-lianga (s. 223), Czang Hsue-lianga (s. 238), Chang Hsue-lianga (s. 259), Dżan Sue-liana (s. 326). Jego ojciec Zhang Zuolin to Czang Tso-lin (s. 190), Chang-tso-lin (s. 206), Tchang-tso-lin (s. 308). Na kolejnej, 309 stronie różne formy pojawiają się w dwóch sąsiadujących zdaniach (!): „[...] realizowaną w porozumieniu z Czang Tso-linem. Nie uszedł jego uwadze wrogi stosunek Chang-Tso-lina do ZSRR”. Nadmienić można, że chodzi o postać znaną, której poświęcił swą debiutancką książkę nie kto inny jak (wychowany w Mandżurii) Teodor Parnicki. Władca Mandżukuo Pu Yi to Pu-Yi (s. 252; dywiz „-„, dzieli tylko imiona, „Pu” to imię, „Yi” to nazwisko), Puli (s. 312), Pu-I (s. 325), „Henryk Pu-Yi” (s. 263; imienia „Henry” cesarz używał dla zabawy na lekcjach angielskiego). Długoletni przywódca Chin Jiang Jieshi, znany w Polsce jako Czang Kaj-szek, to kolejno Czang Kai-szek (s. 196), Czang Kaj-szek (s. 223, przypis), Czang Kai-shek (s. 434). Nawiasem mówiąc, wzmiankowany na s. 206 dość zagadkowy chiński generał „Chang Chieh-shih (w Kantonie)” to także – czego się wszakże czytelnik nie dowie – Czang Kaj-szek (w transkrypcji Gilesa i Wade’a: Chiang Chieh-shih, więc nazwisko przepisano z błędem). Przykłady można mnożyć niemal w nieskończoność.

Nie lepiej jest z Japończykami, w końcu ważniejszymi dla pracy. Zaczniemy od tego, że ich nazwiska niekiedy są odmieniane (s. 33; Komura/Komury), zwykle jednak nie (s. 35 „z generałem Murata” – czemu nie: z Muratą?; s. 75: „informacje od kpt. Yamawaki”: czemu nie Yamawakiego?). Oczywiście odmieniać je należało. Gorzej, że znów nazwiska tych samych ludzi są odmiennie zapisywane. Cesarz Meiji, za życia znany jako Mutsuhito, to na s. 10 Meidzi, na 51 i 88 Meiji. Występujący na szeregu stron major Hiroshi Onouchi to na s. 364–365 Onouczy, na 376 Onouchi, na s. 378 znów Onouczy. Znany dowódca Armii Kwantuńskiej gen. Shigeru Honjo to po kolei: Honjo (bez imienia, s. 249), Sigeru Honzio (s. 325), Honzio (s. 362). Obecny na wielu stronach japoński konsul w Kownie Chiune Sugihara, któremu w Polsce poświęcono już książkę, wymieniany jest konsekwentnie pod imieniem „Chiune” (w tekście, bo pod ilustracją przed s. 129 podpisany jest jednak jako „Chiune”). Sprawca ataku na Pearl Harbor, występujący w książce jako sztabowiec w Mandżurii to „Hideiki Tojo” (s. 288), a potem już „Hideki Tojo” (s. 310; prawidłowa jest ta ostatnia forma). Przypomnieć trzeba, że na Dalekim Wschodzie zmiana jednej litery w nazwisku pociąga za sobą zmiany fundamentalne; na przykład z pozoru podobne formy Chiang (Jiang) i Chang (Zhang) to nazwiska zapisywane zupełnie różnymi znakami, tak odmienne,

jak u nas Kowalski i Malinowski. Czasem chochlik drukarski (bo trudno podejrzewać brak kompetencji autorów) doprowadza w tej dziedzinie do rezultatów tragikomicznych. Na przykład na s. 67 i 68 opisywana jest działalność „ambasadora Japonii w Warszawie, Sato”. Problem w tym, że ambasadorem w Warszawie (jedynym, bo ambasadę otwarto w 1937 r.) był w latach 1937–1939 Sako Shuichi (1887–1949). Natomiast Sato Naotake (1882–1971) stał na czele poselstwa w stolicy Polski w latach 1923–1925 i ponownie 1926–1928. Autorzy z pewnością byli tego świadomi, poseł Sato (w swej prawdziwej roli) wymieniony jest np. na s. 64 i 66. Literówka czyni jednak ich wywód zupełnie dezinformującym dla przeciętnego czytelnika.

Ten ostatni – jeśli nie jest specjalistą bawiącym się w rozwiązywanie tego rodzaju łamigłówek – absolutnie nie będzie podejrzewał, że na szeregu stron pod różnymi nazwami mowa jest o tych samych osobach i miejscach. Z drugiej strony sposób, w jaki jest o nich mowa budzić może (na pewno wielce nieuzasadnione) domysły, że nie zawsze o tym wiedzą sami autorzy. W tej sytuacji swoistym kołem ratunkowym mógłby okazać się indeks nazwisk i nazw geograficznych, którego sporządzenie byłoby skądinąd wyzwaniem nie lada. Problem w tym, że pokaźna przecież książka żadnego indeksu nie posiada.

Równie niefrasobliwie traktowane są także – sprawa przykra – nazwiska historyków, kolegów autorów po fachu. Na s. 165 jako autor (skądinąd nieocenionej) monografii *Stosunki radziecko-japońskie w latach 1931–1941* (Poznań 2000) figuruje niejaki „J. Witkowski”. Naprawdę chodzi o Jakuba Wojtkowiaka. Jego nazwisko wymienione jest zresztą później w formie już prawidłowej, ale szczęścia tego nie miał znakomity krakowski historyk i politolog prof. Marek Bankowicz, cytowany na s. 223 jako „M. Borowicz”. Niemiecki badacz stosunków polsko-japońskich Gerhard Krebs widnieje na s. 452 jako „Gerard Kres”; w bibliografii poprawione jest nazwisko, ale imię już nie.

Przyczyną całego zamieszania mógł być zapewne w znacznej mierze materiał źródłowy. W okresie międzywojennym nie było w Polsce ujednoczonego systemu zapisywania nazw japońskich i chińskich; polscy wojskowi i dyplomaci korzystali z dokumentów w których figurowały – najczęściej – nazwy angielskie (w transkrypcji Gileasa i Wade’a) oraz zapisywane tzw. grażdanką rosyjskie; z japońskimi kolegami rozmawiali w tychże językach. Ponieważ – tak się składa – osobiście miałem do czynienia ze znaczną częścią materiałów z archiwów krajowych, wykorzystanych w pracy *Między Warszawą a Tokio*, zdaję sobie sprawę, że stanowią one wyzwanie dla badacza. Brzemieniem tego ostatniego – skoro się już podjął takiego, a nie innego tematu – jest jednak właśnie (niejednokrotnie żmudna) weryfikacja i ujednoczanie tego, co w archiwaliach znalazł. Tym bardziej że pomocą służyć może – zaopatrzona w użyteczne indeksy i aneksy – praca Ewy Pałasz-Rutkowskiej i znający język japoński współautor. Za edytorską niefrasobliwość odpowiada natomiast wydawnictwo i korektorka, której nazwisko można miłosiernie przemilczeć. Tę ostatnią trudno winić za większość spraw wymienionych powyżej, ale z pewnością nie tylko autorów obciążają takie „kwiatuszki”, jak np. wymienione na s. 337 chińskie miasto „Gałgan” (chodzi zapewne o Kałgan) czy figurujący na s. 366 i 367 japoński dyplomata „Maruda” (oczywiście Matsuda, wzmiankowany na s. 365). Właśnie korekta powinna okiełzać wysiłki – w tym wypadku niedźwiedzie – komputerowego ortograficznego weryfikatora, któremu zawdzięczymy też na pewno choćby „Intelligence Sernice” (zamiast Service) na s. 352.

Poprawienie kwestii nazewnictwa, w istocie uniemożliwiającej przyswojenie pracy przez czytelnika, nie oznaczałoby usunięcia wszystkich zastrzeżeń wobec książki. Byłyby one jednak zdecydowanie innej natury. Zaczniemy od zwykłych rzeczowych błędów. Nie było (do 1935 r.) ambasady brytyjskiej w Pekinie, wspomniany na s. 150 sir Miles Lampson był posłem. Chińska prowincja Jiangsu (Kiangsu) nie leży „w Mongolii” (s. 207) – ani w Wewnętrznej, ani w Zewnętrznej – lecz po prostu w Chinach Właściwych. Michaił Borodin nie był (jak czytamy na s. 209) attaché wojskowym ZSRR, ale (co zresztą autorzy zdają się wiedzieć na s. 196) cywilnym

doradcą politycznym, zresztą nie przy rządzie – jak piszą – a partii (Kuomintangu). Wzmiankowany na s. 315 „Li Chung-chan” (w istocie Li Hongzhang, 1823–1901), który w 1896 r. zawarł traktat z Rosją, nie był „jednym z władców chińskich” tylko jedynie i po prostu ministrem spraw zagranicznych. Sowieci nie mogli rozpracowywać poselstwa brytyjskiego „w Tientsinie” (s. 210) skoro poselstwo znajdowało się – oczywiście – w Pekinie, a w Tianjinie tylko konsulat. W 1932 r. rząd tybetański nie prowadził walk z Chinami „w celu uzyskania autonomii Tybetu” (s. 262) skoro Tybet co najmniej od 1913 r. był *de facto* całkowicie niepodległy, a bił się jedynie o kontrolę nad pogranicznymi prowincjami Amdo i Kham. Wymienione na s. 266 Wyspy Kurylskie nie zaliczały się do kolonii Japonii, lecz były jej terytorium macierzystym (wzmiankowany tamże „archipelag Pescadores” to po polsku Peskadory, inaczej Wyspy Rybackie). Występujący na wielu stronach attaché wojskowy RP w Tokio płk. (Jerzy) Levitoux w większości dokumentów figuruje jako Levittoux. Wymieniony na s. 280 ambasador niemiecki w Tokio „von Dirksen” nazywał się naprawdę Dirksen (Herbert, bez „von”). Nie mogło być mowy o „nagłym opuszczeniu przez delegację, z Mołotowem na czele, stolicy Niemiec w październiku 1940 r.” (s. 480) skoro Mołotow gościł w Berlinie w listopadzie.

Wszystko to budzi smutek, bowiem skądinąd lektura dowodzi, że autorzy zebrali materiał cenny. Wskazuje on, nawiasem mówiąc, że wywiad polski penetrował Związek Sowiecki znacznie sprawniej od japońskiego; ten ostatni w znacznej mierze polegał, jak się okazuje, na mało wartościowych informacjach otrzymywanych od emigrantów rosyjskich. Nie znaczy to, iż wszystkie poczynania Polaków nacechowane były profesjonalizmem – naszkicowana w rozdziale V sylwetka ppłk. dypl. Czesława Pawłowicza, szefa mandżurskiej placówki „Mandaryn”, intryganta i bufona, nie czyni zbyt budującego wrażenia. Czytelnik pozostaje jednak w poczuciu niedosytu. Autorzy (chyba jednak głównie prof. Peplowski?) w rozdziale II opisują szeroko działalność japońskich attaches wojskowych w Polsce na podstawie (wyłącznie) polskich źródeł; w rozdziale IV na podstawie tychże źródeł spoglądamy na Daleki Wschód oczami attaches II Rzeczypospolitej; w rozdziale V śledzimy poczynania wywiadu polskiego w Mandżurii i próbę koordynacji tych poczynań z Japończykami. W rozdziałach tych ani razu Japończycy nie mówią głosem naprawdę własnym (tzn. inaczej, niż cytowani przez swoich polskich kolegów); nie dowiadujemy się ze źródeł japońskich co oficerowie cesarscy sądzili o swoich polskich partnerach, jak ich oceniali, czy współpraca ich satysfakcjonowała, czy mieli może plany jej rozbudowania. Nie wiemy, czy odpowiednich źródeł japońskich po prostu brak (między zawieszeniem broni w dniu 15 VIII a kapitulacją 2 IX 1945 r. w Tokio zniszczono szereg dokumentów), czy też autorzy nie zdołali ich wykorzystać; jeśli tak, to dlaczego? Są to pytania ważne, a lektura pracy *Między Warszawą a Tokio* nieuchronnie rodzi dalsze. Oto dowiadujemy się, że – mimo kurtuazyjnych stosunków między obu państwami i wywiadami – nastawienie władz japońskich w Mandżukuo do miejscowej Polonii było złe, wśród tej ostatniej panowały antyjapońskie nastroje, a rosyjscy emigranci w swych pismach prowadzonych za pieniądze z Tokio uprawiali propagandę antypolską. Wyjaśnienie najprostsze – że Cesarstwu na egzotycznym partnerze znad Wisły zwyczajnie nie bardzo zależało – trudno byłoby zaakceptować, skoro jednocześnie Japonia swymi gestami bezsprzecznie propolskimi (próba mediacji między Warszawą a Berlinem, a potem ostantacyjne uznawanie uchodźczych władz Rzeczypospolitej) nie wahała się narazić swym potężnym sojusznikom niemieckim. Czy więc w osobliwym ustroju Cesarstwa, w którym podejmowane decyzje stanowiły wypadkową dążeń walczących ze sobą frakcji, występował brak koordynacji poczynań tych organów, z którymi rozmawiali Polacy, z innymi decydentami? Czytelnik niestety się tego nie dowie. Nie dowie się również po co właściwie wywiad polski, już podporządkowany uchodźczemu rządowi gen. Sikorskiego, kontynuował zimą 1939 na 1940 r. ożywione kontakty z Japończykami. Otóż (historiografia zachodnia nie lubi tego tematu) w dobie wojny fińskiej w Londynie i Paryżu całkiem na serio rozważano scenariusz „odwrócenia przymierzy”, polegają-

cy na wyłuskaniu rozczarowanej paktem Ribbentrop – Mołotow Japonii z obozu osi i zwróceniu jej przeciw coraz bardziej skonfliktowanemu z Zachodem ZSRR. Jaka rola w tych planach przypadła Polsce? Znowu pozostaje nam znak zapytania.

Reasumując: pokazną objętościowo, opartą na źródłach pracę odkłada się niestety z uczuciem zawodu. Szkoda, że wysiłek autorów nie przyniósł takich owoców, jakie mógł i powinien.

Jakub Polit